

ROZBRAJANIE POLSKIEJ MINY

JAN BOŃCZA-SZABŁOWSKI

Eimuntas Nekrošius, jeden z najważniejszych reżyserów europejskich, zrealizował w Teatrze Narodowym

„Ślub” Witolda Gombrowicza. Zdecydował się na to, bo jak mówi,

to utwór bardzo złożony i wielowymiarowy, przy którym można sobie kark skręcić.



Danuta Stenka (Matka), Mateusz Rusin (Henryk) i Jerzy Radziwiłowicz (Ojciec) w „Ślubie” w Teatrze Narodowym

To druga już po głośnych „Dziadach” Mickiewicza inscenizacja polskiej klasyki przygotowana przez Nekrošiusa na naszej narodowej scenie. Każda premiera jest szeroko dyskutowana przez krytyków i widzów. Jego spektakle goszczą na festiwalach teatralnych na świecie. Eimuntas Nekrošius zachwyca oryginalnością i własnym spojrzeniem na światową literaturę. Ma w swym dorobku wybitne dzieła dramatyczne i operowe. Z reguły unika dziennikarzy i nie udziela wywiadów. Nam jako jedynym udało się towarzyszyć mu podczas prób do spektaklu i porozmawiać z nim i aktorami.

– Z twórczością Witolda Gombrowicza zetknąłem się stosunkowo dawno – zwierzył się litewski twórca przed jedną z prób generalnych. – Ale głównie były to wczesne opowiadania i powieści. Bardzo zapadła mi w pamięć jego „Ferdynand”. Propozycja, bym wyreżyserował „Ślub” padła ze strony Teatru Narodowego. Musiałem na nowo odczytać ten utwór, „wprowadzić do własnej wyobraźni”. Przyjąłem tę propozycję głównie dlatego, gdyż szybko zorientowałem się, że jest to utwór bardzo złożony i wielowymiarowy. I czego nie ukrywał sam Gombrowicz, można sobie przy nim kark skrócić. A zawsze uważałem, że ryzyko wpisane jest w zawód artysty i stąd ta decyzja.

– U Nekrošiusa uwodzi sposób, w jaki jest on przygotowany do rozpoczęcia prób. Rzadko zdarza się coś podobnego w dzisiejszym teatrze – uważa Marcin Przybylski, który w „Dziadach” grał Guślarza, a teraz w „Ślubie” Kanclerza. – Reżyser przyjeżdża z zapisanymi gęsto zeszytami. Kodem, który tylko on rozumie, kreśli sobie pomysł na spektakl, na to, w jaki sposób poprowadzić poszczególne sceny, poszczególne zdarzenia. To owoc jego długiej, analitycznej pracy nad tekstem. Wszystko ma przygotowane wcześniej. Zaskakujące, że niemal gotowy jest już pomysł na scenografię i kostiumy. One powstają potem z pewnymi korektami w teatralnych pracowniach. Możemy więc przed pierwszą próbą wiedzieć, jak będziemy wyglądali i jak wyobraża sobie konkretną postać reżyser.

Grzegorz Małecki, który w „Ślubie” gra postać Pijaka dodaje: – Nekrošius bardzo rzadko wchodzi w dyskusje na temat intencji, które aktor ma grać. Nie opowiada o swoich założeniach i zamierzeniach i nie ma u niego właściwie prób analitycznych. Cała ta praca spoczywa więc na barkach aktora.

– Już od pierwszego spotkania, czyli od prób „Dziadów” aktorzy Teatru Narodowego zadawali mi wiele pytań – wyjawia reżyser. – Musieli się jednak pogodzić z faktem, że bardzo często pozostawiłem je bez odpowiedzi. Byłbym dość naiwny, gdybym sądził że potrafię odpowiedzieć na każde pytanie. Niektóre rzeczy wynikają z intuicji, a do niektórych rozwiązań dochodzimy razem podczas prób.

Przy realizacji „Dziadów” na pytanie jednego z aktorów „co ja właściwie mam grać”, reżyser powiedział: – Jest pan po jednej z najlepszych szkół teatralnych w Europie, więc nie będę panu tego tłumaczył.

Litwin reżyseruje Rusina

Miałem wrażenie, że proponując mi rolę Henryka w „Ślubie” reżyser bardzo uważnie badał moją wyobraźnię – mówi Mateusz Rusin. – Pobudzał ją do aktywności. Docierał do rejonów, które były mi jeszcze mało znane. Chciał też, bym odciał się od ról, które grałem do tej pory. Podkreślał, by nie bać się ryzyka. Powtarzał, że Henryk zbudowany jest tak, że lubi chodzić po przekątnej. Nie po linii prostej, nie zatacza koła, ale idzie po przekątnej.

Karol Dziuba grający Władka, przyjaciela głównego bohatera, przyznaje, że reżyserowi zależało, by ten bohater był niemal stale obecny na scenie, by był baczny obserwatorem poczynania Henryka. Ale też jest jedynym człowiekiem na serio w tej opowieści.

– Mówiąc o postaci Pijaka, Nekrošius na początku sugerował, że wyobraża go sobie jako kogoś z ekipy Wolanda z „Mistrza i Małgorzaty” Bułhakowa – mówi Grzegorz Małecki. – Trochę Korowiów, trochę Behemot. Postać, która w zależności od sytuacji zmienia się i dostosowuje do nowych okoliczności. Jest takim kameleonem. Wiadomo, że Pijak to taka ciemna strona duszy Henryka. Wydobywa z niego najgorsze, wstydlive, mroczne cechy. I o tym mówiliśmy na dwóch pierwszych próbach.

Grzegorz Małecki dodaje też: – Nekrošius działa trochę jak naukowiec w laboratorium. Testuje na nas

różne rozwiązania, a potem wybiera te, które wydają mu się najciekawsze, najbardziej przekonujące, bo on ma bardzo precyzyjnie określoną wizję całości. On się nie tłumaczy, do czego to zmierza. Co więcej, nie przepada za pytaniami dlaczego.

– Próbuje się potem dostroić do tego tonu, który on ma w głowie – mówi Mateusz Rusin. – Ostateczny efekt wynika z konkretnej improwizacji. Bardzo dużo jest tej improwizacji podczas prób i dopiero wtedy dochodzimy do końcowego rozwiązania.

Matka, czyli Mańka

Danuta Stenka podkreśla, że wizje Nekrošiusa są bardzo malarskie i mają w sobie wiele poezji. Przygotowania do spektaklu przyrównuje do obrazów z piasku, które ciągle zmieniają kształt.

– Te obrazy na początku często są dla nas zagadką. – mówi aktorka. – Coś podobnego zdarzyło mi się zresztą w przypadku pracy z Robertem Wilsonem, kiedy na pierwszych próbach trudno mi było zrozumieć jego intencje. Potem okazało się, że wszystko jest bardzo precyzyjnie przemyślane i ma swoją logikę.

– Praca z Nekrošiusiem wymaga od aktora ogromnej czujności, wyobraźni, wrażliwości, ale też cierpliwości – podkreśla Grzegorz Małecki. – Jesteśmy przyzwyczajeni raczej do tego, że w teatrze pracuje się metodą Stanisławskiego, rozmawia dużo o powodach, dla których aktor znajduje się na scenie. Jakie ma „sprawy do załatwienia” z partnerami i czy ta grana postać, mówiąc najkrócej, jest dobra czy zła, wesoła, czy smutna. Z nim tego nie ma. Aktor jest elementem gigantycznej inscenizacyjnej układanki. To daje mu wielkie szanse. Jak zostaje wypełniona ta postać, dużo zależy od aktora. U Nekrošiusa, jak na widelcu widać, kto, jakie ma możliwości. To wielkie wyzwanie może być wspaniałe, ale też smutne, gdy nie ma porozumienia.

Litewski reżyser mimo starannego przygotowania koncepcji spektaklu, mimo „zaszyfrowanych” notatek, projektów kostiumów nie przywozi ze sobą ostatecznych rozwiązań. Pracuje do końca, czasem nawet zasadniczo zmienia koncepcję. Tak było w przypadku postaci Księdza Piotra w „Dziadach” i tak jest teraz w przypadku Matki i Mańki w „Ślubie”. Kiedy młoda aktorka wytypowana do roli Mańki, narzeczona Henryka, musiała wycofać się z obsady ze względów zdrowotnych, Nekrošius zmienił dość radykalnie koncepcję i po raz pierwszy w historii inscenizacji tego dramatu jedna aktorka gra postać Matki głównego bohatera i jego byłej narzeczona Mańki. Zważywszy na życiorys Gombrowicza takie rozwiązanie wydaje się mieć logiczne uzasadnienie.

– Pamiętam, że po moim długim wywodzie na temat tego, co zapisane jest w tekście i tego, jaka jest Mańka, jaka Matka, i czemu one służą, reżyser powiedział: – Matka tak kocha syna, że mogłaby dla niego być wszystkim – mówi Danuta Stenka. – A asystentka i tłumaczka Nekrošiusa Anna Turowiec dodaje: – Dla mnie taki zabieg dobrze tłumaczy relacje samego Gombrowicza z jego matką oraz jego trudnością w pokochaniu kobiet, o czym zresztą sam mówił: „Matka odebrała mi zdolność miłości”. Czyli każda kobieta, z którą się zetknął, przypominała mu matkę i jest do niej porównywana.

Wielu odczytuje też „Ślub” jako rodzaj rozprawy Gombrowicza z polskim romantyzmem. Nekrošius przyznaje, że to nie był dla niego klucz do interpretacji. Co więcej, bardzo się starał, by znaleźć w tej opowieści zupełnie inny ton niż ten, który można było wyczytać w jego „Dziadach”: – Kiedy miałem już gotową własną inscenizację, teatr pokazał mi nagrania dwóch wersji „Ślubu”. Tę, którą zrealizował Jerzy Jarocki i która uchodzi wręcz za kanoniczną, oraz tę, którą na scenie Narodowego przygotował Jerzy Grzegorzewski. Uznałem je rzeczywiście za znakomite, myślę o nich z zazdrością, bo bardzo mi się podobały. I pomyślałem, że na szczęście moja idzie w nieco innym kierunku.

– Fascynujące w pracy z Nekrošiusiem jest to, że potrafi on budować zdarzenia, unikając banałów i sztamowych rozwiązań – uważa Marcin Przybylski. – Jest niesłychanie czujny i daleki od tego, żeby coś było dziwne dla samej dziwności. Choć bardzo często widzę, przychodząc do teatru, przyznaje, że z czymś takim się jeszcze nie spotkał. Są rozwiązania sceniczne, które inspirowały do refleksji, niekonwencjonalnych skojarzeń, które nie przyszły wcześniej do głowy na przykład podczas czytania oryginalnego utworu.

W „Ślubie” Nekrošius po raz kolejny rozbraja nasze romantyczne „miny”. W niektórych scenach nawiązuje wręcz do ducha Felliniego, do pewnej klaunady, a nawet do świata cyrku, który zwłaszcza w krajach Europy Wschodniej ma zupełnie inny, znacznie głębszy wymiar niż w naszej polskiej tradycji. Niektóre sceny są wyraźnym pastiszem Szekspira. Ale inne brzmią bardzo współcześnie i bardzo groźnie. Mogą być odebrane jako przestroga przed totalitaryzmem, przed ludźmi, którzy nie są przygotowani do sprawowania władzy. O ich kompleksach, pogardzie wobec innych i potrzebie odwetu. O słowach, które wygłaszają, choć sami w nie wierzą.

– Władza ogarnia każdego człowieka, jest jak pleśń, która zaczyna go obrastać – mówi Eimuntas Nekrošius. – Ludzie mają potrzebę władzy, wtedy wydaje im się, że mogliby dorównać bogom. A wojny to przecież sposób na podporządkowanie sobie innych.

Nie należy się bać

Litewski reżyser nigdy nie robi jednak spektakli doraźnych, uważa, że od bieżącego komentowania rzeczywistości są media, a nie teatr. Na to, co dzieje się w świecie, nie patrzy z optymizmem, ale przypominał mi maksymę, która jest mu jako człowiekowi szczególnie bliska

– Rosyjski pisarz Warłam Szalamow, więzień gułagu, napisał takie zdanie „Nie bój się, nie wierz, nigdy nie proś”. I myślę, że dużo w tym racji – uważa reżyser. – W twórczości, jak i w życiu warto starać się mieć własne zdanie, wypracować własną pozycję, nie próbować się dostosować do panującej mody. Ona przemija. Jeśli ludzie mniej by się bali, inaczej wyglądałby świat. Historia pokazała, że genetycznie mamy skłonność do strachu. Ale też do buntu. I o tym nie zapominajmy. Czasy dyktatorów, nawet tych najbardziej bezwzględnych, na szczęście przemijają.

Ponieważ gdzieś w tle gombrowiczowskiego „Ślubu” przewija się temat ojcobójców, zapytałem po jednej z prób Eimuntasa Nekrošiusa, czy jako uznany twórca teatru litewskiego nie czuje na plecach oddechu młodych, którzy chcieliby przejąć ster? On potraktował to pytanie z uśmiechem: – Wymiana pokoleń to naturalny proces i trzeba się z tym pogodzić – powiedział. – Młodzi oczywiście chcą ten proces przyspieszyć, my staramy się go nieco spowolnić. Na Litwie jest bardzo wielu młodych, utalentowanych artystów. Nasze pokolenie nie powinno się z nimi porównywać. Nie widzę powodu, bym miał się z nimi ścigać. Uważam bowiem, że każdy ma coś własnego, oryginalnego do zaproponowania. Myślę, że po prostu starczy miejsca dla każdego.

– Jest podziwiany na świecie nie tylko dlatego, że przekracza granice, ale w przeciwieństwie do reżyserów modnych, którzy stawiają diagnozy dotyczące współczesnych czasów, on dotyka czegoś, co jest ponadczasowe i uniwersalne – twierdzi Grzegorz Małecki i dodaje: – Dla niektórych aktorów praca z nim jest wykańczająca i mordercza. Wymaga cały czas utrzymywania umysłu na najwyższym poziomie aktywności. Ale też skupienia, aby nadać za jego wyobraźnią. Kiedy to skupienie spada, bardzo trudno zbudować rolę, bo reżyser w tym nie pomaga.

Zrealizowana przez niego inscenizacja „Ślubu” to świetna okazja spojrzenia na naszą literaturę z pewnego dystansu, bez wieloletnich przyzwyczajeń i schematów. – Jest to oczywiście pomysł ryzykowny i dyskusyjny – dodaje Grzegorz Małecki – ale mnie się podoba to, że po raz pierwszy Gombrowicz został potraktowany zupełnie inaczej. Do tej pory inscenizacje jego utworów naznaczone zostały rysem, czy wręcz duchem operetki, zabawy słowem. Wchodziło się w konwencję komiczno-farsową, w jakimś stopniu robił to nawet Jerzy Jarocki. Nekrošius dostrzegł w tym utworze o wiele większe otchłanie i jakiś potwornie głęboki, egzystencjalny dramat człowieka. I to mnie w tym urzekło. Oczywiście dla tych, którzy przyzwyczajeni są do kanonicznych wystawień Gombrowicza, zwłaszcza w ujęciu Jerzego Jarockiego, „Ślub” Nekrošiusa może wydawać się wręcz bluźnierczy i obrazoburczy.

– Od inscenizacji „Ślubu” dokonanych przez Jerzego Jarockiego czy Jerzego Grzegorzewskiego mijają dziesięciolecia – mówi Marcin Przybylski – i oto przyjeżdża reżyser, który ma na koncie największe dzieła literatury światowej i bierze się za Gombrowicza, który był krytykiem naszego paradygmatu romantycznego. Nie mamy obiektywnego stosunku do naszego przedstawienia, biorąc w nim udział. Mam jednak nadzieję, że ten dyskurs Gombrowicza ze swoimi romantycznymi przodkami będzie interesujący i wywoła dyskusję. ☺